

MARIAN PILOT

PANNY SZCZERBATE



Marian Pilot

PANNY SZCZERBATE I INNE OPOWIADANIA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68790-01-6

(C) CC BY-SA 4.0

Projekt okładki: Ewa Gawlik

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

Spis opowiadań

GAŁAWAN

BANIALUKI

CMENTARNE WIŚNIE

TRZYKROĆ SZCZĘŚLIWI KRÓLOWIE

POLOWANIE NA PSY NOCĄ

ZABAWA

CZEREŚNIARZ I DZIEWCZYNA

RAPT

UCISZENIE

SPRAWIEDLIWOŚĆ

PANNY SZCZERBATE

PANI Z WOŁACZEM

RAZ, OKOŁO WIELKIEJ NOCY

...KTÓRY DO NAS IDZIE

KOŁO

GALAWAN

Janowi Bykowi

Namiętność, mnie samego uderzająca dziwacznością, zaprowadziła mnie kiedyś do Mord, dziurawej miejsciny z ogromnym, pełnym końskiego nawozu rynkiem i kilkoma szarymi chałupami, miejsciny poniżej nawet swej szorstkiej, podlutkiej nazwy; do Komańczy, która oczarowawszy nazwą po tatarsku dziką i dziarską, zawiodła mnie potem bezwzględnie.

Omieciny: ta nazwa dźwięcząca w moich uszach ciepło i uciszająco, skonkretyzowała się wioszczyną nieoczekiwanie odpowiadającą moim wyobrażeniom, łagodnie okoloną lasami, rozłożoną szeroko wśród piaszczystych pagórków, z rzadka porośniętymi młodymi brzózkami i jałowcem, żywiczną i białopienną. Zamieszkałem tu u samotnej babinki w jednej z dwu izdebek jej malutkiej jak betlejemska szopka chałupki.

Babinka żyła sobie cichutko, ptaszkowato, od rana do wieczora, od wieczora do rana; tak począłem żyć i ja.

Budziłem się rano, nie za późno, nie za wcześnie, kiedy już koza w obórcie poczyniała robić rejwach, a moja izdebka, pełna starych wizerunków świętych, komódek, skrzyń cudaczych, zastawionych świętymi figurynkami, pudełkami po kostkach maggi i gdańskiej tabace, musowała słońcem przecedzonym przez gęstwą zasłaniającego okienko dzikiego wina. Zaraz też w kuchni zaczynał się ruch. Babka poziewała, szeleściła spódnicami, odmawiała pacierze półgłosem rzetelnie nabożnym, wychodziła na podwórko, odmachując się kurom, które z radosnym gdakaniem garnęły się jej pod spódnicę. Poczesując się wielkim grzebieniem dyrdała babka ku obórcie, otwierała drzwiczki; wychodziła koza wielce pejsata i dostojnie kołyszając ciężkim wymieniem, na babcin sposób dyrdała do studni. Babcia nalewała jej do korytka wody i zwijając włosy w węzełek, czyli kuśkę, maleńki i szary niby kozi bobek, patrzyła na słońce, na chmury na zachodzie – by wybać, jaka będzie pogoda – a potem ruszała z powrotem do kuchni, dobrotliwie opędzając się coraz to bardziej natrętnym kurom. Ze złością już zatrzaskiwała drzwi, ale po chwili uchylała je znów, słysząc było cykanie ziaren po posadzce ganku, zaciekle dziobanie i gderliwy głos babki: „A sio, a sio” – kury widać pchały się do kuchni – i znów trzaśnięcie drzwi. Hałasując fajerkami, babka rozpałała ogień w piecu. Wyskakiwałem z łóżka i biegłem się myć pod studnię. Koza już stamtąd odeszła, wsuwając pejsaty pysk pomiędzy sztachety, wyskubywała trawki z sąsiedniej łąki. Ochlapywałem się wodą, za babcynym przykładem patrzyłem na słońce i chmury na wschodzie i na zachodzie, wycierałem się ręcznikiem, póki babka nie wołała przez otwarte okno:

– Panie pón, panie pón!

To było wezwanie na śniadanie, zacierkę albo kawę z kozim mlekiem. Zjadaliśmy je sobie powolutku i milcząc. Babka dziobała jak wróbelek, trochę tego, trochę tamtego, patrzyła na mój talerz, dokładała, przytakiwała mojemu apetytowi:

– Jak Gała, całkiem jak Gała! – A kiedy już kończyłem, podnosiła się ze swego małego zydela i szła do kozy.

Rąbałem drzewo, smolne, głuche szczapy, potem rzucałem siekierę i szedłem sobie, jak to babka mówiła, gdzie bądź przed siebie. Otumaniony ciszą lałem powoli, leniwie nurzając gołe stopy w gorącym piachu, to znów pędziłem, wzniecając kurz, który przyćmiewał słońce. Krokiem wymyślnym i zwariowanym biegłem leśnymi duktami, tak jasnymi, jak gdyby ktoś wykreślił je kredą w zgęstniałej i ciemnej gęstwinie boru; wlokłem się rudymi od mrowisk sosnowymi ścieżkami, gorzkimi drózkami wśród wiklin i żółtych głabów wierzb. To znów w słońcu, stężałem w bursztyn, brnąłem przez ogromne piaszczyste pustacie, gdzieś porośnięte rozchodnikiem i kolczastym, spalonym jałowcem, by znów ukryć się w leśnej gęstwinie, chłodnej jak źródłana woda.

Czasami też włóczyłem się po starej, na wpół zrujnowanej cegielni, pełnej dziur, zakamarków, stosów zmurszałych, spalonej na proch cegły, powleczonej pleśnią i pajęczyną, jakichś przeżartych rdzą żelastw. Pewnego dnia wdrapałem się po połamanej drabinie na poddasze, wyrząłem przez zapajęczone okno.

Przed czworakami, tuż obok cegielni, dziewczucha pierze bieliznę. Tęga, rozprażona, w samej halce tylko, trzy koszule, aż na twarz bryzgają płaty mydlin, a ze stanika wymykają się piersi mocne, śniade jak tłusty twaróg. Dziewucha przystaje chwilami, przeciąga się, zakładając ręce za kark, pod jej pachami zapalają się rude ogniki. Odgarnia włosy, znów pochyla się nad balią. Patrzę na nią długo, uwiedziony jej ciałem rozłożystym i mocnym; wreszcie dziewczyna zgarnia naręcz bielizny i idzie, zmagając się z ociężałością bioder. Piersi dygoczą drobniutko, krągłe przy każdym stąpieniu, wystrzępiony rąbek halki omiata kulfoniaste łydki...

Dziewucha przystaje, klamerkami przymocowuje koszule do sznura. Mokra bielizna leży na jej ramieniu, strużka wody spływa po plecach w dół, dziewczyna wygina się miękko, przymyka oczy.

Wychyliam się z okna, wyschła gruda gliny spada z parapetu w dół, dudni i rozpryskuje się po dachówkach.

– E! – krzyczy dziewczyna, podnosi głowę. – Co ty, psuju, sobie myślisz? Stasiek! Złaż mi zaraz!

Chowam się w głab, nie odpowiadam.

– Zleziesz czy nie? – wściekli się dziewczyna.

Znika gdzieś, słyszę tupot jej bosych stóp po klepisku, oddech, trzeszczenie szczebli: wdrapuje się po drabinie. I oto stoi przede mną, z połą halki w rękę, z nagimi udami, potrząsa ciałem rozłożystym i mocnym.

– A ty co sobie myślisz? – wrzeszczy nie zdetonowana tym, że jestem jej zupełnie obcy. – Pranie będziesz mi brudził!

Patrzę na nią, potem nagle łapię za kark i wpijam się zębami w jej mocne, czerwone ramię, gnany jej wrzaskiem skaczę po łamiących się szczeblach...

Nie wróciłem już potem do cegielni, przygoda, która mogła być następstwem tej znajomości, wydała się dziwnie niesmaczna i niegodna tego wszystkiego, co mnie otaczało. Zresztą wszystkie wieczory miałem zajęte.

Zmroki były ciche i łagodne. Z dusznej izby wynosiliśmy się na ganek; babka robiła na drutach albo nic nie robiła, tylko najzwyczajniej patrzyła sobie w świat, ja czytałem książkę, łykając wiśnie, które jeszcze w południe zerwałem w sadzie. Zrywałem tylko te najśłodsze, przejrzałe i czarne jak czereśnie.

– Nie trzeba czytać o zmroku, panie pón – upominała babcia, od dawna już nieprzychylnie zerkająca na moją książkę. – Panienki w oku od tego się psują, bryle będzie pón nosił, jak ja. Ja też w mrok czytałam, panną jeszcze. Jak była pielgrzymka na Jasną Górę, to ksiądz Czerwoński, świętej pamięci, powiedział: „Ino mi nie czytajcie o mroku, ino mi nie czytajcie. Panienki od tego się psują”. Czytałam, no i co? – Tak się babka rozgadywała, zdejmowała swoje okulary w drucianej oprawie. Odkładałem też swoją książkę i słuchałem. Babcia wyrzekała na kozę, która urwała się dziś ze sznurka i poszła! poszła w gospodarską koniczynę, szkody narobiła. Pannie świętej dzięki, nikt nie zauważył. Albo kura karmazynka, niby to ze szlacheckiego gniazda, ale z jajami gdzieś się po świecie nosi, ani myśli ich w gnieździe zostawiać. I zrób tu co takiemu ćwokowi!

Statecznie radziliśmy o sposobach ukrócenia wybryków kozy, zgadywaliśmy, gdzie też karmazynka może nosić się ze swoimi jajkami. Potem mówiliśmy o pogodzie, babcia znów zakładała okulary, patrzyła w niebo, badała, czy jest rosa, i przepowiadała słońce na dzień następny: nie zwykła była przepowiadać innej pogody.

– Trzeba iść spać – mówiła, kiedy już ten temat się kończył. – Tak to się człowiek nalata, tak się nalata, że na wieczór to aż głowa się sieje.

Rozbierałem się szybko i leżąc w pachnącym ziołami łóżku, słuchałem, jak klekocząc ziarnkami różańca modli się babcia. Potem już była cisza, przesiąknięta zapachem starych obrazów, oplecionych różańcami i święconą palmą. Czasami budziło mnie coś: za oknem jabłka buchały w pełną rosy, dźwięczną trawę; leżałem chwilę w wielkim świetle księżyca i usypiałem znów.

Czasami, w późne popołudnia, kiedy dzienny skwar nieco już przycichał, szliśmy na cmentarz. Dźwigałem konewki z wodą, babka dyrdała obok z polewaczką i motyką, mówiła:

– Płakać by trza, zielsko się na groby rzuca, soki dobremu zielu odbiera... A Pan Jezus też inaczej na człowieka patrzy, jak ma ładny grób.

Na babcinym starunku były trzy groby, ukryte w gęstym zagajniku wiśniowych drzew, krzących się tu bujnie i owocujących obficie ku pożytkowi much, pszczoł i trzmieli. Trzy groby: mąż i dwaj synowie babki. Zginęli wszyscy jednego dnia.

– Przyszły te antykrysty, wywlekli, za Czesiową stodołą pozabijali, świeć Panie nad jeich duszą – opowiedziała mi raz babka.

Groby były wielkie, kopczyste, w okładzinach z darni; babka wyrywała trawę i chwasty, podlewała kolonie fioletowych bratków.

– Sama ci ostałam – mówiła. – Niedobrze tak człowiekowi samemu, to tak jak z taką smentarną wiśnią, niby to owoce ma, ale nikt się tego nie tknie...

Zastanowiło mnie to powiedzenie.

– A Gała? – wtrąciłem.

Babka nic mi nie odpowiedziała.

To było w czasie wojny – wywiedziałem się wieczorem na ganeczku – w jakiś październikowy dżdżysty dzień. Babka ubrała się ciepło „w parę rękawów” i popędziła kozę, poprzedniczkę obecnej, tak samo pejsatą i tak samo złośliwą. Kozie nie smakowała króciutka, wytarta trawa. Zaparła się, szarpnęła, wyrwała babce sznurek z rąk i pokłusowała w szkodę, w saradelę... Babka pobiegła za nią pędem, od mokrej saradeli koza mogła się wzdać i zdechnąć. Babka dobiega, na kozę z wraskiem: „A ciuj, ciuj” – a koza nic, stoi, jak stała, nad jakąś bruzdą, saradeli nie chapie, stoi i pobekuje z zastanowieniem. Babka do niej. A tu – wrzask! W bruzdzie leży coś maleńkiego, czarnego, dziecko nie dziecko, diablątko jakieś małe – i drze się, drze jak złe na kale. Babka patrzy, bierze na ręce – a toto wydzierza się i kopie. Niedobrych ojców musiało to mieć, pomyślała sobie babka, diabła temu do kieszeni dali, krzyż na drogę i już.

Babka w kłopotcie, ale to przecież dziecko. Kozę na kołku uwiązała i z dzieckiem podyrdała do domu. Radziła nad nim z sąsiadkami, zgłosiła do sołtysa – ale nikt się po czarnego chunchuza nie zgłosił. Tyle że koza zdechła, bo się z kołka urwała i nażarła saradeli. Co było robić, babka chrzciny czarńcowi urządziła, bo można było się domyślić, że wyrodna matka do kościoła dziecka nie zaniósła. I tak sobie Jaś rósł, czarniec, mruk i zapalczywy, nie wiadomo skąd to mu się brało, innych chłopaków zawsze lał, jak tylko mu się pod rękę nawinęli. Przez to wszystko go nazwali Gała i tak mu już zostało; zresztą zawsze był taki jakiś, ani do Boga, ani do ludzi, choć dobry chłopak.

Taka to była historia o Gale, który wydał mi się trochę śmieszny, bo to nawet nie w kapuście, ale w saradeli na świat się zjawił.

W czwartek przyszedł list, list od Gały; wszystko od razu przewróciło się w naszym domu. Gała zapowiedział swój przyjazd na niedzielę; babka wstawiała teraz o świcie, budziło mnie szuranie rondlami, sapanie ciasta, ugniatanego w dzieży. Kury gdakały i kwokały sobie bez skutku, koza żałośliwie beczała w obórce. Śniadanie musiałem sobie sam przyrządzać, babka dyrdała po podwórku z pogrzebaczem i pomietłem w ręku. Rozpalała ogień w piecu i sabatniku, równocześnie gniotła kopyścią mąkę w donicy.

– Gała lubi także kluski z makiem – mówiła mi i zaraz pędziła mnie do ogrodu, bym narwał wiśni i jabłek. Biegałem razem z babką, prawie tak jak ona podniecony, nosiłem drewna, rozgarniałem pogrzebaczem węgle w sabatniku. Babka z piwniczki pod podłogą wyciągała jakieś nalewki na porzeczkach i ziołach, odszukiwała w szafie kieliszki, staroświeckie, poobtłukiwane kulawki.

W niedzielę babka nawet na mszę nie poszła, nie zdążyła, gotowała obiad, raz po raz wybiegała na drogę. Ulitowałem się nad kozą, popędziłem ją gdzieś na miedzę. Kiedy wróciłem, Gała już był, zwalisty, kosmaty i czarny, siedział przy stole. Podał mi łapę wielką jak piekarska

łopata, uśmiechnął się zająkliwie, spojrzał oczyma smętnymi i jołopimi, z powrotem zasiadł do stołu, zastawionego babcinymi krupnikami, kapustami, pierogami, konfiturami. Babka chodziła od pieca do stołu, dopytywała się, jak długo Gała zostanie w domu. Gała pełną gębą odmrukiwał, że parę dni zostanie, bo zrobił swoje pierwszy – jest drwalem-przodownikiem – i ma wolne.

– Dzisz go – wykrzykiwała babka uszczęśliwiona. – Dzisz go, jaki to – i popatrywała na mnie.

– Matka, a może by jeszcze wiśni – mówił Gała.

– Zarutko, zarutko – mówiła babka – już.

W poniedziałek rano Gała długo jadł śniadanie, potem wylazł na podwórze, rozejrzał się wokół, wziął toporek i zaczął reperować płot; babka wytłumaczyła mu dokładnie, gdzie jest co do jedzenia, i popędziła kozę. W końcu i ja poszedłem sobie „gdzie bądź”. Tak minęło parę dni.

Aż raz... Wróciłem wcześniej, zanosilo się na deszcz. Gały nie było na podwórku, pomyślałem sobie, że pewnie poszedł na wieś; ale był w kuchni. Siedział na babcinym zydelku, z książką na kolanach. To był zabawny widok. Poszedłem do swego pokoju i położyłem się na łóżku.

Gdy babka zawołała mnie na obiad, Gała ciągle jeszcze siedział i czytał. Na zaproszenie babki położył książkę na oknie i usiadł do stołu. Zjadł kilka łyżek zupy i nagle zagadnął mnie o coś tak niepojętego, że zdębiałem. To był jakiś problem z logiki. Gała czytał, połapałem się teraz, mój „Tractatus logico-philosophicus”. To było niepojęte! Jąkając się, odpowiedziałem coś. Gała poskrobał się po głowie i zbił mnie w paru słowach.

– Skąd pan to wie? – wykrzyknąłem.

– Przecież czytałem – powiedział i zamyślił się.

Nie umiałem mu nic na to odpowiedzieć: czytał rzeczywiście. Ale pamiętałem, babka mi to kiedyś opowiadała, Gała nie ukończył szkoły podstawowej! Więc... Nic z tego nie rozumiałem. To było niepojęte, niesamowite.

W nocy nie mogłem zasnąć. Coś nienaturalnego było w tym wszystkim. Tak wziąć do ręki „Traktat” – i ni stąd, ni zowąd po paru kwadransach lektury postawić problem, nad którego rozwiązaniem biedził się sam Bertrand Russell? Co za zagadka tkwiła w tym zwalistym, kosmatym chłopie, który teraz sobie chrapał na sąsiednim łóżku? Słowo „niesamowitość” krążyło mi w kółko po głowie.

Gdy obudziłem się rano, Gała już nie spał. Półnagi siedział na swoim łóżku i czytał jakąś książkę. Podniosłem głowę: to był mój podręcznik angielskiego.

– How are you? – powiedział do mnie tonem mojej lektorki, która oblała mnie trzy tygodnie temu na kolokwium. – Good morning, mister...

– Panie – powiedziałem – to niesamowite! Pan chyba nie jest człowiekiem! Pan nie może być człowiekiem...

– Pevnee, zhe near yestem – powiedział Gała wstając i wybuchając nagle wielkim śmiechem, który buzował w nim jak ogień w piecu z dobrym cugiem. – Ya yestem gawavan! Gawavan!

Patrzyłem na niego z przerażeniem; krzyczał coś jeszcze, język plątał mu się w gębie, nie rozumiałem jego słów. Zbliżał się ku mnie.

– Nie jestem Gała, nie jestem po to, żeby rąbać drzewo... Przyszedłem was zniszczyć... Zniszczyć! ta babula oswoiła mnie, zapomniałem, kim jestem, kim się urodziłem i po co tu jestem... zneutralizowała mnie... Pan mnie wyzwolił... Pan będzie miał zaszczyt być pierwszym...

Zbliżał się ku mnie; krzyknąłem zduszonym głosem. Zmieniał się w oczach, witkaczył się, janbyczył, gaławanił. Krzyczałem. Skrzypnęły drzwi... Babka stała w progu. Nie powiedziała nic; żegnając się, wycofywała się tyłem do kuchni. Byłem sam; Gała-Gaławan zbliżał się...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI